

Lot radzieckim śmigłowcem transportowym z pewnością nie należy do przyjemności. Wciśnięci jak sardynki pomiędzy setki kilogramów bagażu, cały czas zastanawiamy się, czy podrdzewiała, przeciążona maszyna nie zahaczy o któryś z mijanych cztero- i pięcioletnich. Loty w górach wysokich bezpieczne z pewnością nie są. No, ale widok przez miniaturowe okienka jest nieopisany... W końcu Tien Szan to jedna z najpiękniejszych gór świata.

Śmigłowiec ku naszej uldze, ląduje w końcu na lodowcu Inyłczek i możemy ładować się do namiotów w base camp u podnóża Chana Tengri – siedmiotysięcznego celu naszej wyprawy. Jeszcze tylko trzeba wnieść do namiotów kilkadziesiąt kilogramów jedzenia, mającego nam starczyć na następne trzy tygodnie i już możemy napawać się piękną ścianą naszej góry marzeń.

Chan Tengri znajduje się na granicy Kazachstanu i Kirgistanu i dominuje nad ogromnym łańcuchem Tien Szan. Ze względu na swój kształt i trudności, często jest nazywana „Małym K2”. Nazwa ta, co prawda jest mocno przesadzona, niemniej trudności spowodowały, że pierwszego letniego wejścia na Chana dokonano dopiero w roku 1931, a pierwszego wejścia zimowego – w latach dziewięćdziesiątych. Po wojnie góra stała się poligonem szkoleniowym całych pokoleń radzieckich i rosyjskich wspinaczy, w tym – najlepszych obecnie na świecie rosyjskich himalaistów.

Strzelisty kształt Chana powoduje, iż góra wydaje się o wiele wyższa niż w rzeczywistości. Prawie trzykilometrowa, niemal pionowa ściana wyrastająca wprost z lodowca, robi naprawdę niesamowite wrażenie. Na tyle duże, że przez wiele lat (do lat 40-tych) uważano Chana za najwyższy szczyt Tien Szan – pomimo, że znajdujący się w zasięgu wzroku Pik Pobedy ma ponad 400 metrów więcej. Teraz Chan jest dość popularnym celem alpinistów z całego świata. Zamocowane na prawie całym podejściu liny poręczowe, ułatwiły wspinaczkę do tego stopnia, że co roku zjawia się tu 150-200 alpinistów, którzy chcą wejść na całkiem „honorny” siedmiotysięcznik.

Naszą grupę ma skład całkiem międzynarodowy. Sześciu Polaków i trzech Finów, wszystko pod szyldem Polskiego Klubu Alpejskiego. Przejazd przez Białoruś i Rosję do Moskwy, przelot do stolicy Kirgistanu, Biszkeku, pozwala nam całkiem dobrze poznać się wzajemnie. Wszyscy z doświadczeniem wysokogórkim i sporym zapalem. Jest z nami nawet ksiądz – żartujemy, że w razie czego możemy liczyć na ostatnie namaszczenie. Jeszcze tylko całodniowy dojazd przez bezdroża Kirgistanu do górskiej bazy, skąd helikopter zabierze nas pod Chana i już jesteśmy w base camp.

Bazy na lodowcu pod Chanem Tengri są aż cztery – znaczy, że prowadzenie ich musi się opłacać. Trzy znajdują się pod południową ścianą i jedna od północy. Teoretycznie więc trzy są w Kirgistanie, jedna w Kazachstanie. Teoretycznie – gdyż nikt w górach granicami się nie

przejmuje. Nasza grupa, która z Kirgistanu poleciała na terytorium Kazachstanu, nie ma nawet kazachskich wiz – w końcu kto to będzie sprawdzał?

Położona na wysokości ponad 4000 m n.p.m. baza północna wygląda nieco cudacznie. Staroświeckie namioty turystyczne (takie z masztami) porzucano po morenie lodowcowej, a wokół mnóstwo śniegu. No i drewniane latryny, nijak nie pasujące do krajobrazu. Co nie znaczy, że się nie przydają...

Właściciel bazy, Kazach Kazbek Walijew, oferuje spory wachlarz usług. Można nie tylko zamówić sobie posiłki w mesie (jak na wczasach), kupić wódeczkę, skorzystać ze sauny, ale też wysłać mail, czy wynająć przewodnika, który wejdzie z tobą na Chana. A wszystko to za bająćskie jak na miejscowe warunki pieniądze. Jediną obowiązującą walutą jest tu dolar, jedyną zasadą – nic za darmo. Polskie zarobki stanowczo nie starczą na większość przyjemności.

Base camp to prawdziwa wieża babel. Już pierwszego dnia wpada na nas chłopak w koszulce z napisem „Izrael Climbing Club”. Długa niestrzeżona broda nie pozwala wątpić, że faktycznie jest członkiem tego klubu. Aaron pierwszy raz jest w tak wysokich górach. Po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej, postanowił sobie, że nie wróci szybko do ojczyzny. Przyjechał tu z Alp, a jego kolejnym celem mają być Himalaje. W Izraelu zamierza być nie wcześniej niż za rok, a może jeszcze później. Nie mniej rzucają się w oczy Koreańcy. Jak się dowiadujemy, jest ich ponad dwudziestu i wszędzie ich pełno. Mają najlepszy sprzęt, wykupili najlepsze jedzenie i wynajęli kilku miejscowych przewodników. Do wszelkich rad przewodników podchodzą z nabożnym szacunkiem, traktując ich jak półbogów. Podobno co roku przyjeżdża tylu Koreańczyków, niemniej prawie żaden z nich na Chana nie wchodzi. Niespecjalnie ich to jednak martwi. Już sam udział w wyprawie na siedmiotysięcznik jest dla nich wystarczającą frajdą. Spotykamy też sporo alpinistów z krajów anglojęzycznych: Anglików, Kanadyjczyków, Australijczyków, no i oczywiście Amerykanów. Ci ostatni ze swym przewodnikiem, Scottem, który jest chyba najbardziej popularną osobą w bazie. Popularność ta wynika z faktu, że jest zdobywcą kilku ośmiotysięczników, ale przede wszystkim z posiadania przez niego jedynego tu telefonu satelitarnego. Użycza go wszystkim chętnie, tym bardziej że na każdej rozmowie sporo zarabia, biorąc dwa razy tyle, co później zapłaci operatorowi. Scott jest jednym z nielicznych westmanów, którzy nie mają w oczach lęku przed Chanem. Ludzie zachodu nie są chyba jednak przystosowani do surowych warunków Tien Szan – nawet niezli wspinacze mają kłopoty ze zniesieniem tutejszego zimna. Lata życia w luksusie robią jednak swoje...

Po krótkim odpoczynku w base camp, ruszamy w końcu sześćset metrów w górę – do obozu I. Nasz pierwszy kontakt z górą zachęcający nie jest. Zamocowane na niej liny poręczowe trudno właściwie nazwać „linami”. Większość z nich bardziej przypomina sznury do suszenia prania, a te nieliczne, które można uznać za liny alpinistyczne są przecierane i

wyglądają jakby miały za chwilę się zerwać. Niemal wszystkie zawieszono jeszcze w poprzednim wieku. Przez pierwszych kilka dni robi to na nas wrażenie, ale z upływem czasu obojętniejemy. Do tego stopnia, że gdy po dwóch tygodniach natykamy się na co kawałek pozrywane i byle jak powiązane liny pod szczytem Chana, nie ma to dla nas żadnego znaczenia. Tak czy owak, trzeba się jakoś po nich przejść...

Poza tym podejście do obozu pierwszego, a potem drugiego jest całkiem przyjemne. Stroma grań, poprzecinana co chwilę skalnymi uskokami, wydaje się nie taka trudna, jak mówią jej książkowe opisy. Potwierdzałyby to liczba napotkanych wspinaczy. Jest ich naprawdę sporo. Jak szacujemy, na tej części Chana znajduje się każdorazowo około 50 wspinaczy. Dopiero powyżej obozu II (5.500 m n.p.m.) znaczna część wspinaczy rezygnuje, pokonana przez wysokość, rosnące trudności techniczne i przejmujące zimno. Po trzydniowym rekonesansie do obozu II, gdzie nie śpimy, zostawiając jedynie depozyt z namiotem i żywnością, wracamy na dwa dni do bazy głównej. Trochę odpoczynku nam się należy! Każdy zjada swój dzienny przydział jajecznicy z kiełbasą i tylko nasi Finowie trochę się krzywią. Zaczyna do nich docierać, że 260 jajek i 20 kg kiełbasy, które nasza dziewiątka kupiła w Biszkeku, oznacza dla każdego dwie jajecznice z wkładem dziennie i to do końca pobytu w base camp.

Chan Tengri i sąsiedni Pik Pobiedy są najbardziej na północ wysuniętymi siedmiotysięcznikami na ziemi. Tutejsze lato trwa jedynie od 1 lipca do 15 sierpnia. Cała reszta roku uznawana jest za zimę, a temperatury w tym okresie są niczym na Antarktydzie. Przez te półtora miesiąca sezonu wspinaczkowego liczba odmrożeń, jakim ulegają ludzie na tienszańskich siedmiotysięcznikach jest jednak nie mniejsza niż w innych górach wysokich przez całą zimę. Powyżej 6000 m wystarczy tu chwila nieuwagi i źle osłoniętą nogę czy rękę trudno już rozgrzać. W zasadzie prawie każdy, kto wszedł na szczyt, ma coś odmrożonego. Całe szczęście, że większość tych odmrożeń nie kończy się amputacjami. Po rozmowie z miłą parą Australijczyków, z których każdy stracił po trzy palce, postanawiamy jednak, że w przypadku utraty czucia powyżej 6000 m, każdy z nas natychmiast zacznie zejście.

Ponowne dotarcie do obozu II zajmuje dwa razy mniej czasu, niż za pierwszym razem. Teraz pozostaje spędzić w namiotach dwie noce, aż organizm się dostosuje do wysokości. Najtrudniej jest tym, którzy nie mają nic do roboty. Czekanie w beczynności może zanudzić największego twardziela. Ja na szczęście załapałem się na „Niezwykłą lekkość bytu” Kundery, bez wątplenia książkowy przebój wyjazdu. Wchłaniam go w dwa dni – częściowo sam czytając, częściowo zaś słuchając Bogusia czytającego na głos co lepsze kawałki. Wreszcie kończy się druga noc w II obozie i możemy iść wyżej. Droga staje się coraz trudniejsza. Fragmenty skalnej wspinaczki stają się dłuższe i dłuższe. Wzmaga się też wiatr, który siecze w twarz kryształkami lodu. Ale w końcu jesteśmy na jednym ze szczytów Piku Czapajewa. To przez ten sześciotysięcznik wiedzie najprostsza droga na Chana z północy. Jeszcze tylko trzysta metrów w dół

na Zachodnią przełęcz i zostaje tylko 1200 metrów na szczyt. Ale my na Czapajewie mamy tym razem się tylko przespać, by przyzwycząić się do wysokości i schodzić do base camp.

Noc na 6100 m n.p.m. okazuje się nie lada wyzwaniem. Pomimo wkopania namiotów metr w głąb śniegu, wiatr nie daje nam zmrzyć oka. Namiotom wprawdzie nie grozi odfrunięcie, jednak hałas łopoczącego tropiku jest nie do wytrzymania. Jakkolwiek zdobyta w ten sposób aklimatyzacja jest nieoceniona, tego ranka wyglądamy jak z krzyża zdjęci. Wiatr dalej wieje jak zwariowany i podczas ubierania się tracę czucie w palcach rąk. Po zejściu do obozu II czucie jednak wraca, co trzeba uczcić ostatnim posiadanym batonem. Czas wracać do bazy głównej i odpocząć przed atakiem szczytowym.

Po zejściu do bazy głównej, dowiadujemy się, że na południowej stronie Chana Tengri doszło do tragedii. Na grupę kilkunastu wspinaczy spadła lawina, która zabiła dwunastu z nich. Wśród ofiar są Czesi, Rosjanie i Ukraińcy. Wszyscy są wstrząśnięci liczbą zmarłych. Co roku południowe zbocze Chana grzebie w lawinach kilku śmiałków, ale nigdy tylu. Od dawna wiadomo, że wejście od tamtej strony jest bardzo niebezpieczne, jednak brak technicznych trudności co roku zachęca wiele osób, by ponieść to ryzyko. Licząc dwóch wspinaczy, którzy zginęli na trudnych drogach na północnej ścianie (w tym doskonałego polskiego alpinistę z Gliwic Grzegorza Skorka), oznacza to, że w tym roku zginęło na Chanie już czternastu ludzi. Straszna statystyka. Biorąc po uwagę, iż na szczyt wejdzie do końca sezonu około 40 wspinaczy, na każdym trzech szczęśliwców przypada więcej niż jedna śmierć. Surowy ten Chan...

Base camp jest w tym czasie opustoszały. Sporo ludzi już wyjechało, nie widząc szans na wejście na Chanę, a jeszcze więcej jest na górze i szykuje się na atak szczytowy. Ściskamy za nich kciuki, sami oddając się rozkoszom życia w bazie. Niestety Finowie rezygnują z dalszej akcji górskiej. Nie znoszą dobrze wysokości i mają kłopoty żołądkowe. Ich decyzja, jak się później okazało, była słuszna. Po kilku dniach dwóch z nich mdleje z niewiadomych powodów i musi odlecieć wcześniej z lodowca. Rosjanie twierdzą, że to zatrucie, ale kto tam wie...

My Polacy, po zejściu z Czapajewa pozwalamy sobie na szaleństwo. Dwa piwa po takim zmęczeniu okazują się jednak dawką zabójczą. Po fazie pijackich śpiewów, pozostaje nam jedynie iść spać, zdając sobie sprawę, że właśnie zrujnowaliśmy mit o mocnej głowie naszej nacji.

Polacy... Bez wątplenia najliczniejsza grupa pod Chanem. Skąd bierze się ten pęd naszych rodaków do wspinaczki w górach wysokich? Może pokutuje ciągle legenda Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz i innych sław polskiego himalaizmu. Każdy chciałby być taki jak oni. A że więcej w tym chęci niż realnych możliwości, szczytem marzeń zazwyczaj jest Tien Szan. Co by jednak nie powiedzieć, to sukcesy w tych górach mamy. O ile co piąty spośród oblegających górę jest Polakiem, to należy do nas blisko połowa wejść na szczyt. I tak jest co roku. Biorąc pod uwagę trudność

góry i liczbę Polaków wspinających się w górach wysokich, wynik naprawdę imponujący.

Dzień przed ponownym wyruszeniem w górę nasz ksiądz Zbyszek urządza wspaniałą, kameralną mszę na lodowcu u podnóża Chana Tengri. Oprócz Zbyszka nikt z nas specjalnie religijny wprawdzie nie jest, niemniej na mszy stawiają się wszyscy – w końcu nigdy nie wiadomo. Wspaniałe otoczenie (a i pewnie strach przed kolejnymi dniami na górze), powoduje zauważalny wzrost religijności. Tak czy owak, msza jest niesamowita. Jeśli ktoś chciałby niespodziewanie się nawrócić – byłaby to wymarzona wprost okazja.

Atak szczytowy jest zawsze wielką niewiadomą. Człowiek trzy dni wchodzi do góry, w zasadzie po to, żeby przekonać się jaka będzie pogoda – tylko przy ładnej są szanse na wejście na Chana. Brak jakiejkolwiek prognozy jest jednym z uroków tej góry. To właśnie dlatego tylu wspinaczy musi oczekiwać na pogodę po kilka dni w namiocie, pozostając na 6.000 m n.p.m. To jest również jedną z przyczyn licznych odmrożeń.

No ale nam pogoda sprzyja. Po niezbyt dobrych warunkach na podejściu, do całkiem wygodnej platformy biwakowej 900 m poniżej szczytu dochodzimy przy pięknym słońcu i braku wiatru. Kiedy kolejnego dnia wyglądamy przed 5 nad ranem z namiotu, na niebie widać tysiące gwiazd. Pogoda gwarantowana! Gotujemy tyle wody ile się da (na tej wysokości idzie to jak krew z nosa) i ruszamy, byle wyżej w górę. Idziemy zachodnią granią, gdzie o tej godzinie nie dochodzi słońce. Zimno straszliwe. Gdyby nie chemiczne rozgrzewacze w moich trzech parach skarpet, straciłbym czucie w palcach już po chwili. Ale nie jest źle. Po pięciu i pół godzinach mam już za sobą największe trudności skalne i śnieżno-lodową rynnę. Do szczytu pozostaje mi tylko łatwe podejście po śniegu – może ze sto metrów w pionie. Te ostatnie metry są najcięższe. Co rusz pokonuję pięć kroków i staję bez tchu. Kilka oddechów i znów te nędzne pięć kroków. Ale już widzę dwóch Koreańczyków cieszących się na szczycie z ich rosyjskim przewodnikiem. To już naprawdę blisko! Łzy napływają mi do oczu. Było ciężko, ale udało się – 7010 m n.p.m.! Ponad dwa tygodnie walki na tej cholernej górze! Płacę jak bóbr, gdy ściskamy się na szczycie z Bogusiem, który wszedł chwilę wcześniej. Kto by pomyślał, że ze mnie taka beksa. Jeszcze tylko pamiątkowa fotka i na dół. Czas mamy niezły, więc w namiocie będziemy zanim zapadną ciemności. O północy wszyscy są z powrotem w namiotach. Jak się okazuje, wszyscy też szczytowaliśmy, a niewielkie odmrożenia ma tylko Teo, samotny Rumun który kilka dni temu przyłączył się do naszej grupy. Możemy więc z czystym sumieniem wchodzić do śpiworów – zadanie wykonane, pozostało tylko zejście. Ale to dopiero następnego dnia.

Zejście dłuży się niesamowicie. Ponad dwa kilometry po skałach i stromej grani w dół z ponad dwudziestokilowym plecakiem. Zjazd za zjazdem, cały czas uważając, by nie popełnić błędu, który może zakończyć się nieszczęściem. Do tego dokuczać zaczyna brak wody. W ciągu ostatnich

dwóch dni każdy z nas wypił jedynie po dwa litry wody. Na tej wysokości to stanowczo za mało. Żeby tylko nie zakończyło to się odmrożeniami. Wczorajsze szczęście z wejścia na szczyt ustępuje stopniowo zniechęcaniu. Zaczynam spoglądać na Chana z wielką niechęcią. Sporo kosztował sił... Kiedy udaje się nam dojść jeszcze tego samego dnia do bazy głównej, starcza nam sił jedynie na wsunięcie się do śpiworów...

Cztery dni później czekamy spakowani na śmigłowiec transportowy. Po dwudziestu dniach w świecie bez roślin, wprost nie możemy się doczekać zielonych dolin Kirgistanu. Każdy ma już serdecznie dość życia na coraz zimniejszym lodowcu. Wygląda, że jedynymi, którym nie jest pilno do zieleni są kirgisy pracownicy bazy. Ale w końcu gdzie znajdą pracę za 7 dolarów dziennie, wikt i opierunek. Za pieniądze zarobione przez dwa miesiące pracy tutaj, będą żyli wygodnie cały następny rok.

Droga powrotna przez Kirgistan wyraźnie rozczarowuje. Przez tydzień jaki pozostał nam do odlotu samolotu, planowaliśmy zwiedzić ile się da. Z planów tych jednak nici, gdyż... nie ma za bardzo co zwiedzać. Poza pięknym ogromnym jeziorem Issykul (Balaton nie dorasta mu do pięt), innych atrakcji brak. To znaczy – pewnie są, ale trudno ustalić gdzie. Po drodze spotykamy kilkunastu takich alpinistów jak my, którzy mając kilka dni do odlotu samolotu, próbują coś ciekawego zobaczyć. Postsowieckie miasta i miasteczka są jednak wprost odrażające. Wiele lat jeszcze musi upłynąć, zanim coś się tu zmieni.

W najmniej zniechęcającej miejscowości, Karakolu, spotykamy trzech Czechów. Od kilkunastu dni oczekują na dzień odlotu ich samolotu do domu. Nie próbowali zmieniać daty lotu. Najwyraźniej nie spieszy im się z powrotem. Na południowych stokach Chana Tengri zostawili pięciu swoich przyjaciół. Gdyby wyszli pięć minut wcześniej, oni również zostaliby pod lawiną. Widać, że pomimo wypitej w ostatnich dniach wódki, nadal nie mogą się pozbierać. Kiedy jednak mówimy, że za rok nikt z Czech pewnie nie przyjedzie na Chana, oburzają się. Jak tylko pieniądze dopiszą, to oni przyjadą! Tym razem od północy. W końcu jeszcze nie byli na szczycie...

*Marcin Woźniak*